



Kryminał z myszką

64

Jedwabny krawiat

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

JEDWABNY KRAWAT

Kryminał z myszką – Tom 64

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-73-7

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1966, seria „Z jamnikiem”

Motto:

„... Wije się złoty Lewiatan zły,
W srebrne szczury, wijąc się, zmienia,
Drobnieje w bilon pcheł i wszy,
I znowu w szczury zrastają się pchły,
Grosze i wszy srebrzeją w kieszeniach
I znów wypełzają szczurami szaremi,
Za nami, przed nami, biegają, po ziemi,
I jak papier wyschnięty, szeleszczą, szurają
I znów się w złotego potwora zlewają...”

Julian Tuwim: „Bal w Operze”

Rozdział 1

Wlókł się ulicą nie zwracając uwagi na potrącenia przechodniów, ręce wsunął głęboko w kieszenie płaszcza, nie dopalony papieros zwiślał z kąta ust.

„Tak oto kończą się wszelkie z nim rozmowy” – myślał, przeżuując słowa pokorne i uwłaczające ambicji, które przed pół godziną mówił, nie, raczej wyjękiwał, błady ze złości i upokorzenia. Widział teraz siebie, jak na ekranie kina, siebie stojącego już we drzwiach tamtego mieszkania, ale jeszcze – uporczywym żebrackim spojrzeniem – czepiającego się oczu człowieka, który uśmiechał się uprzejmie i z ubolewaniem. Uśmiech był uprzejmy, twarz jednak zimna, diabelsko zimna i opanowana, pełna własnej racji i całkowicie o jej słuszności przekonana.

– Mógłby pan chociaż powiedzieć przepraszam – usłyszał nad uchem. – Idzie jak nieprzytomny.

Warknął coś, odsunął się.

„Muszę to załatwić” – postanowił. Wypłuł niedopałek, rozejrzał się, o parę kroków dalej był bar kawowy „Amatorska”. Pchnął oszklone drzwi, stanął przed kasą.

– Dużą proszę.

Z kawą ukrył się w samym kącie, usiłując nie spoglądać w lustrzany pas biegnący wzdłuż lady barowej. Nie mógł teraz znieść widoku własnej twarzy, nie chciał sobie patrzeć w oczy. Bar, zwykle wypełniony do ostatniego miejsca, dziś był pustawy. Upalny wieczór zapędził ludzi do kawiarnianych ogródków, parków i nad Wisłę.

„Załatwić. Ale jak? Można okraść bank, zrobić włamanie do spółdzielni czy sklepu, napaść na jakiegoś durnia w ciemnej ulicy i zabrać mu portfel. Można sfalszować, zrobić manko, brać łapówki. Do okradzenia banku potrzebny jest doświadczony współnik z samochodem, zresztą teraz to oni już się pilnują. Nie mam współnika, ani z samochodem, ani bez, i wątpię, żebym potrafił go zdobyć. Z włamaniem do sklepu podobnie. Ostatecznie można i samemu, pewnie wcale nie jest tak trudno. Ale w sklepach gotówki nie przechowują, najwyżej jakieś grosze. Pozostaje towar, który trzeba potem sprzedać jakiemuś paserowi... Nie mam pasera. Nie znam ludzi na bazarze Różyckiego. Nie znam żadnego złodzieja, któremu mógłbym zaufać”.

Uśmiechnął się kątami ust.

– Cześć, stary! Już się nie masz do kogo uśmiechać, tylko do własnej gęby?

Niechętnie strząsnął ciężką rękę z pleców. Ten akurat był mu teraz potrzebny! Ale znajomy nie zrezygnował z rozmowy. Postawił ostrożnie filiżankę z kawą i wpakował się z trudem na hoker. Był gruby, cały jakby nalany tłuszczem po brzegi skóry, prawie łysy, z tym wszystkim schludny, lśniący białością nylonowej koszuli, wyprasowany i prawie elegancki.

– Co tu robisz? – pytał przyjaźnie, nie dostrzegając niechęci albo też nie chcąc jej dostrzegać.

– Siedzę.

– Tak samotnie?

– Bo co?

– Nic. Masz jakieś kłopoty? Kiepsko wyglądasz.

– Co cię obchodzi.

– Józek, nie złość się. Chodź, pójdziemy na wódkę, to ci przejdzie.

– Nie chcę. Zresztą, nie mam pieniędzy.

– Jak ja cię zapraszam, to ty nie potrzebujesz mieć. Już widzę, gdzie cię boli. No chodź, na frasunek dobry trunek. Pogadamy, może coś się poradzi.

Po czwartym kieliszku zaczął mówić. Wszystko, od samego początku. Zaczął od pierwszego spotkania z tamtym, z człowiekiem o zimnej twarzy i uprzejmym uśmiechu. Trochę zająknął się, kiedy opowiadał o pierwszej pożyczce – bo to była właściwie darowizna,

której nigdy nie miał zamiaru oddać. Tamten zresztą nie upominał się, ale suma była niewielka, zupełny drobiazg w porównaniu z tym, co później. Za którymś razem, kiedy miał wyciągnąć rękę po tak życzliwie podawane banknoty, zawahał się. „Nie – powiedział – ja i tak nie miałbym z czego... Niech pan mi już więcej nie pożyczysz, niepotrzebnie przyszedłem”. Tak wówczas powiedział, pamięta dokładnie swoje słowa, które natychmiast – w sekundę potem – chciał cofnąć. Bo przecież w gruncie rzeczy musiał, za wszelką cenę musiał mieć te pieniądze, ten gruby plik banknotów, i nie widział żadnych innych możliwości pożyczki, prócz tej.

Ale tamten, jakby nie słysząc jego słów, włożył mu do ręki pieniądze i patrzył spokojnie swymi niebieskimi, chłodnymi oczami, jak chowa pośpiesznie banknoty, jak upycha je nerwowo w portfelu i po kieszeniach trzęsącymi się, wilgotnymi palcami. To już była poważna suma, dziesięć tysięcy złotych.

Tak. Ale nie ostatnia. W pół roku później spotkali się przypadkowo na ulicy. Było to spotkanie nieuniknione, wpadli niemal na siebie, był deszcz i porywisty wiatr, ludzie kulili się pod murami kamienic lub biegli spiesznie do przystanku, kryjąc twarze przed strugami wody lejącej się z nieba i z dachów. Po sześciu miesiącach starannego unikania ulic, którymi tamten chodził, sklepów i kawiarni, które miał zwyczaj odwiedzać – wpadł na niego na rogu Marszałkowskiej i Hożej i tamten odruchowo, a może umyślnie, bo już go poznał, przytrzymał go za ramiona.

„Nie mam – powiedział zamiast przywitania. – Niech pan robi ze mną, co chce, ja nie mam z czego oddać.”

W rezultacie pożyczył jeszcze dwadzieścia sześć tysięcy. Tego wieczoru, w domu, podliczył cały dług i przeraził się. Wiedział, że było tego dużo. Nie sądził, że aż tyle. Prawie pięćdziesiąt tysięcy.

– Pięćdziesiąt tysięcy? – grubas aż gwizdnął z przejęcia. – Bój się Boga, chłopie, na coś ty wydał tyle forsy?

Różnie było. Wpierw trochę grał, ale mu karta wciąż nie szła, więc rzucił to wszystko, już czuł swego pecha w grze, jak w innych sprawach. Potem... tak, pierwszy duży wydatek to była wfm-ka. Cieszył się nią równo dwa i pół miesiąca, aż rozbił motocykl na śliskiej szosie. Kosztowało go to cztery tygodnie w szpitalu i kilka napraw, po których wfm-ka definitywnie odmówiła posłuszeństwa.

No, a później mieszkanie. Z mieszkaniem to...

– Pij – tuścioch podsunął mu kieliszek, widząc, że waha się, czy mówić dalej. Okropnie go ciekawiły takie rzeczy, często wyciągał ludzi na zwierzenia, przeżywał to jak film czy powieść. – Powiedz, Józek, ale przecież na mieszkanie nie musiałeś pożyczać od niego, mogłeś postarać się z zakładu pracy czy jak...

Właśnie – postarał się. Nieszczęście chciało, że w tym okresie powierzono mu magazyn wyrobów gotowych. Fabryczka była niewielka, ale w magazynie leżało części na parę milionów. Robili rzeczy drogie, eksportowe, mieli znak jakości „Q” i dobrą markę u zwierzchników. Klucze od magazynu były wyróżnieniem, zdawał sobie z tego sprawę.

Sprzedał kilka części. Potem jeszcze parę. Wpłacił wkład na dwupokojowe mieszkanie, trochę umeblował, trochę mieli starych mebli. Jadwiga była szczęśliwa, o nic nie pytała. Miał, to miał. Wierzyła mu, czy było jej to obojętne? Nie sprawdzała.

Kiedy, szef produkcji, sobie tylko znanymi drogami, dowiedział się, że przyjdzie kontrola, zamknął się z nim wieczorem w swoim gabinecie. Byli spokrewnieni przez żonę, szef okazywał mu zawsze wiele życzliwości, ale teraz zaczął się czegoś domyślać. Nie można było ukryć braków w magazynie, szef miał doskonałe oko, lepsze niż kontrola. „Słuchaj, Józef – powiedział – nie chcę gubić ciebie ani siebie, bo i mnie mogliby osiągnąć, wiedzą, żeśmy krewni. Ja ci teraz wstawię do magazynu te części. Ale ty mi w ciągu, powiedzmy, tygodnia najdalej zwrócisz ich wartość.”

To było właśnie te dwadzieścia sześć tysięcy. W dwa dni po rozmowie z szefem spotkał tamtego na ulicy, potem weszli do jakiejś kawiarni. Dziwił się, że tamten nosi przy sobie aż tyle pieniędzy, wyglądało prawie na to, że czekał na niego z pożyczką.

– Nie rozumiem – rzekł gruby ssąc pustą cygarniczkę – dlaczego on ci wciąż tyle pożyczał? Na piękne oczy, na procent czy na co, u licha?

Opowiadał teraz wylewnie, szeroko, że sam się nad tym wielokrotnie zastanawiał, a jedyna rozsądna odpowiedź, jaka mu przychodziła na myśl, nie znajdowała przecież żadnego uzasadnienia: oto tamten chciał go po prostu kupić w jakimś, sobie tylko wiadomym celu. Chciał go mieć w przyszłości na jakieś usługi, nie mówił o tym nigdy ani nie robił żadnych aluzji, ale ta sprawa wisiała nad nimi podczas każdej rozmowy.

Wiele razy chciał o to zapytać wprost, chciał wiedzieć, na co ma być kiedyś przygotowany. Ale zawsze w ostatnim momencie powstrzymywał się od pytania. Bał się, że jeżeli wszystko się wyjaśni, będzie musiał z miejsca zwrócić wszystkie długi i już nigdy nie skorzysta z jego pieniędzy. Tego się bał, tego w gruncie rzeczy nie chciał.

– No dobrze – gruby przestał ssać cygarniczkę i dołał wódki do kieliszków. – Więc jesteś mu teraz winien te pięćdziesiąt patyków i co? Potrzebujesz więcej, a on nie chce dać?

– On chce teraz zwrotu całej sumy – odparł ze szlochem, był już pijany i mąciło mu się w głowie. – Rozumiesz, Franek? Całe pięćdziesiąt tysięcy. A ja... skąd mam wziąć?

Grubas pomyślał trzeźwo, że trzeba było nie pożyczać, ale nie chciał tego mówić, w tej sytuacji żadne takie uwagi nie miały sensu.

– Dał ci jakiś termin?

– Miesiąc.

– To nawet nieźle. Mógł dać tydzień. No, a jak nie oddasz, to co?

– To powie... o tym magazynie i... ja za miesiąc miałem zacząć robotę w jednej fabryce, mieli mi tam dać dobre stanowisko.

– Gdzie?

– W „R-10”, na Żeraniu.

– To duża fabryka. Co miałeś dostać?

– W warsztatach mechanicznych. Przecież jestem fachowcem.

– Tam lecą duże premie, miałbyś forszę.

– Miałbym. Ale on... mam mu oddać ten dług, bo inaczej powie i nie przyjmą mnie.

Powie wszystko, no i wtedy pójdę siedzieć.

Milczeli dobrą chwilę, tłusty w zamyśleniu kruszył chleb na obrusie.

– Właściwie, Józek – zaczął z wahaniem – to on jest w prawie. Pożyczył, chce mieć z powrotem. Ale dlaczego on ci pożyczał?

*

„*Wtorek, wieczorem.*”

Napisałem najbardziej plugawy list, na jaki mogłem się zdobyć, ale go oczywiście nie wysłałem. Wieczna szarpanina między pragnieniami i urzeczywistnieniem. Zresztą, w rozmowach jest to samo, nigdy nie powiem tego, co naprawdę chciałem, tylko jakieś takie... Potem robi się piekło, nerwy mam na skórze, biłbym ludzi za dotyk ręki, za spojrzenie, za to, że są.

Nie ma nic głupszego niż próby szczerości, to nieomal zakrawa na ekshibicjonizm, zresztą dlaczego to tylko ja mam być szczerzy? Wczoraj rozbiłem lustro w łazience, miałem chwilę idiotycznej satysfakcji, jakby to był człowiek, któremu rozbiłem mordę. W rezultacie pewnie będę musiał kupić nowe, bo źle się golić przed kieszonkowym, mniejsza o forszę, ale takie odprężenia dają bardzo niewiele i na krótko. Oczywiście, tłumaczenie: dlaczego zbiłem, jak zbiłem, po co zbiłem – można oszaleć. Jak dziecko.

Właściwie mam na to wszystko tylko jedno słowo. Upokorzenie. Barlow pisze w «Patriotach»: «...nie będę się czołgał». Imponuje mi to, chcę tak samo, a czołgam się każdego dnia i każdego dnia jestem upokarzany.

Dobrze, zdobędę się na szczerą przed samym sobą. Właśnie przez to, że on potrafi upokarzać – tym też mi imponuje. Muszę podziwiać w nim wszystko, czego nie ma we mnie, a co chciałbym mieć. Każde jego słowo, każdy gest, uśmiech, sposób, w jaki zapala papierosa, w jaki ogląda się na ulicy za ładną dziewczyną, w jaki podnosi do ust filiżankę z kawą – to wszystko. Absolutna pewność siebie, swoich ruchów, swego wyglądu, i jak to działa na otoczenie. Absolutny brak... ja mam to ciągle: spojrzenie jakby gdzieś z boku, z ukosa, ręce wilgotne, zacieram je nerwowo, krople potu na nosie, spłoszone oczy, muszę odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos wobec osób, których nie znam albo wobec takich jak on.

Trochę to przechodzi po wódce, ale nie daje satysfakcji, bo jest sztuczne i nie bardzo siebie potem pamiętam. Może, gdybym miał już tyle lat co on, ale chyba nie, sam wygląd jego, taki bardzo męski, zwłaszcza jak unosi lekko głowę albo idzie ulicą... Nigdy nie będę tak wyglądał, choćbym żył sto lat.

Chowam w szafie koniak, bo po wódce mam kaca i w pracy mogą zauważyć. Piję czasem w nocy, kiedy Barbara śpi. Przypomina wtedy małą dziewczynkę, prawą rękę wsuwa pod policzek, skręca się w kłębek, oddycha spokojnie, lekko. Mała, lekkomyślna dziewczynka. Puste to, głupie, co mnie z nią właściwie łączy?

Biedny idioto, zadusiłbyś, gdyby kto chciał... Nie wiem – ją czy jego. Może oboje. Oczywiście i na to nie starczyłoby mi odwagi.

Sobota, w nocy.

Patrzę na nią, niedawno zasnęła, pierwszy raz widziałem ją pijaną. Mieszanina uczuć: konsternacja, jakby jakieś zaskoczenie, trochę niesmaku, chęć posiadania – to ostatnie może najsilniejsze. Wziąłem ją zaraz po wejściu do pokoju; było w tym jednak sporo gniewu i chęci odegrania się. Przede wszystkim na nim.

Jak ona na niego patrzyła!

A może się mylę. Może zwyczajnie, jak na każdego innego, była po prostu podniecona alkoholem.

Czy ja nie wyolbrzymiam jego zalet? Mam kompleks niższości i dlatego. Przez chwilę – to było w hallu, przed dużym lustrem – staliśmy obok siebie, znów musiałem porównywać, on to widział, uśmiechał się. Położył mi rękę na ramieniu, taki «przyjacielski gest», odtrąciłem tę rękę, nawet się nie zdziwił.

Właściwie to Barbara zaczęła. Pod koniec kolacji zachciało jej się nagle peppermintu, uparła się. Byłbym jej naturalnie postawił ten cholerny peppermint, ale wiedziałem, że nie starczy mi forszy. Powiedziałem jej to po cichu, spojrzała na mnie jakoś dziwnie, nic już nie mówiła. Potem patrzę, a kelner stawia przed nią kieliszek i nalewa. Mówię, że nie trzeba, a ten drań odzywa się na cały głos: «Już zapłacone, proszę pana». I pokazuje palcem: «Ten pan zapłacił»...

Nie wiedziałem, co zrobić, byłem wściekły, upokorzony, podniosłem się z krzesła, chciałem... Sam nie wiem, co wtedy chciałem. Ale Barbara przytrzymała mnie. Nie miało sensu urządzać awantury w lokalu, on zresztą, jakby mnie nie widział, rozmawiał przez cały czas z kimś tam.

Dlaczego ja nigdy nie wiem, co powinienem, co on by zrobił na moim miejscu!”

*

– Panie profesorze!...

Odwrócił się, zniecierpliwiony. Korytarzem nadbiegał asystent, końce białego kitla rozwiewały się jak skrzydła. Asystent miał twarz w piegach i niebieskie dziecinne oczy, ukryte za ciemnymi szklami.

– Panie profesorze, docent Tajber prosił, aby to panu przekazać. On sam wstrzymuje się z wydaniem opinii do chwili otwarcia szóstego laboratorium. – Podał plik papierów, odsapnął zmęczony.

– Przecież szóste laboratorium ma być otwarte jutro rano – zdziwił się, machinalnie chowając do teczki dokumenty.

Asystent śmiesznie zamachał rękami, jakby oganiał się od much.

– Gdzież tam! Nie skończyli remontu. Otworzą nie wcześniej niż za tydzień.

Przygotować na jutro fiołki dla AC-X?

Profesor Chwalibóg zadumał się. Asystent przyglądał mu się w głębokim skupieniu, nie wiedząc, że myśli szefa krążą w tej chwili dokoła cielejącej potrawki z sałatą. Potrawka znakomicie utrzymywała w normie profesorski żołądek i zjawiała się w jego domu na stole co najmniej dwa razy w tygodniu, najczęściej we czwartki i wtorki. Dziś był wtorek.

– Dla AC-X? – powtórzył, z westchnieniem wracając do korytarza, Instytutu i swego asystenta, którego zresztą dosyć lubił. – Tak, niech pan przygotowuje. Jutro przeprowadzimy następną próbę. Czy był pan u lekarza?

Asystent zaczerwienił się i zgubił na chwilę wszystkie piegi.

– To jest... właśnie tam się wybierałem, kiedy docent Tajber...

– Niech pan nie zwala na Tajbera – przerwał mu surowo. – Proszę mi się jutro nie pokazywać bez wyników analizy. Dziecko z pana czy co? Przecież zdaje pan sobie sprawę, czym jest AC-X, u licha... Dzień dobry, kolego – to odnosiło się do szczupłego, wysokiego mężczyzny, który wyszedł właśnie z przeciwnej strony korytarza. – Otrzymałem papiery, przejrzyj je w domu, może jeszcze dzisiaj.

– Nic pilnego – odparł docent Henryk Tajber. Miał piękną twarz o ciemnych, trochę smutnych oczach. Kobiety oglądały się za nim, kiedy szedł ulicą, a on odpowiadał czasem uśmiechem, częściej jednak zajęty był swoimi myślami. W Instytucie uważano go za jednego z najzdolniejszych pracowników.

Asystent skorzystał z okazji i ulotnił się, a dwaj naukowcy ponarzekali chwilę na to i owo, wymienili parę dowcipów i poszli, każdy w swoją stronę. Tajber miał jeszcze sporo pracy w czwartym laboratorium, którego był kierownikiem. Czekają go zestawienie analiz z ostatnich prób nad szczepionkami, co było interesujące, i zmycie głowy jednemu z pracowników, czego nie cierpiał. Postanowił nagle, że odłoży to do jutra, i od razu poprawił mu się humor.

Profesor Chwalibóg pomedytował chwilę przy oknie gabinetu, po czym ujął słuchawkę i poprosił do aparatu kierownika administracyjnego. Właściwie kierownika wszyscy tytułowali dyrektorem albo co najmniej wicedyrektorem do spraw administracyjno-handlowych. Wszyscy, z wyjątkiem Chwaliboga, który uznawał tylko jednego dyrektora, blisko dziewięćdziesięcioletniego staruszka, głuchego jak pień, ale pełnego wigoru – emerytowanego dyrektora gimnazjum, do którego Chwalibóg kiedyś chodził.

– Słucham, Trzaskowski – odezwał się w słuchawce niski, matowy głos kierownika.

– Panie Marianie, tu Chwalibóg, w przyszłym tygodniu będę potrzebował więcej surowca dla AC-X – powiedział profesor z nagłą energią. – Prosiłbym o wcześniejsze zamówienie, gdzie trzeba. Prace nie mogą się odwlekać.

– Obawiam się, panie profesorze – zaczął kierownik, ale tamten przerwał mu w połowie zdania:

– Mój drogi, niech się pan nie obawia, tylko zamówi. Przecież tu chodzi o aginominę! Nie wolno tego przerwać ani na jeden dzień.

– Rozumiem – odparł Trzaskowski cierpko – ale mnie też obowiązują pewne terminy zgłoszeń. Umówiliśmy się kiedyś, że pan profesor będzie mnie zawiadamiał co najmniej dwa, trzy tygodnie naprzód.

– Nie pamiętam – rzekł Chwalibóg z beztrąską, która wyrwała ciche przekleństwo z ust kierownika. – W każdym razie, najpóźniej na środę muszę mieć surowiec. Niech pan się jakoś postara. Dobrze?

– Będę się starał. Ale na przyszłość, panie profesorze... przy okazji chciałem poinformować, że szafa pancerna dla fiolek z AC-X będzie gotowa za tydzień. Przedsiębiorstwo, które to robi, przyspieszyło termin oddania.

– Co im się stało? – spytał profesor zdumiony.

– Bóg raczy wiedzieć. Może dostali więcej materiału, może liczą na premię, może jakaś kontrola. W każdym razie, zanim pan zakończy swoje prace, szafa będzie czekać w gabinecie.

– Bardzo mnie to cieszy. Pan wie, AC-X to straszna... no, mniejsza z tym. W każdym razie, ani jednego dnia fiołki nie mogą leżeć bez solidnego zamknięcia. Do widzenia.

Trzaskowski odłożył słuchawkę, wydał wargi i z zafrasowaniem zaczął studiować kalendarz na biurku. Tak nagle zamówienie surowca oznaczało wyjazd poza Warszawę, a na to nie był przygotowany. Zniecierpliwiony przerzucał kartki, medytował nad każdą godziną i dniem, wreszcie stwierdził, że wyjazd jest niemożliwy.

– Cholera z naukowcami! – zaklął. – Przecież nie wytrzasnę tej przeklętej aginominy spod ziemi...

Pozostawało tylko jedno wyjście: posłać kogoś innego. I oczywiście tym innym musiał być jego zastępca, magister Stanisław Marczyk.

Odłożył kalendarz, sięgnął po papierosa. Marczyk... Pan magister nie zawaha się. Jeszcze dzisiaj – albo jutro z samego rana – wsiądzie w pociąg, wydostanie surowiec choćby spod ziemi, z triumfem przywlecze pełną skrzynię i będzie podłaził Chwalibogowi pod rękę, jak kot domagający się pieśczoły, będzie każdym uśmiechem, każdym nie wypowiedzianym słowem domagał się uznania, pochwały, może premii.

Wtedy profesor powie, tak mimochodem, niby bez żadnej ukrytej myśli, że magister Marczyk jak już się weźmie do czegoś, to zawsze doskonale załatwi. Może jeszcze doda, że trudno się dziwić, bo Marczyk młody, pełen energii, inicjatywy, zapału. Docent Tajber – jak zwykle trochę nieobecny myślami – dorzuci, że magistrów przydałaby się podwyżka. Ktoś tam może już nie powie, ale pomyśli, że z Marczyka byłby pewnie lepszy dyrektor administracyjno-handlowy Instytutu, bo Trzaskowski jakoś tak czasami... Pięćdziesiątkę przekroczył, wprowadzie dopiero tydzień temu, ale zawsze. Może więc należałoby go przenieść na jakieś lżejsze, mniej odpowiedzialne stanowisko.

Zduślił papierosa, zerwał się i podszedł do okna. Po dziedzińcu szła grupa zagranicznych studentów, prowadził ich jeden z pracowników, pewnie zwiedzali Instytut. Przed bramą zatrzymała się ciężarówka z materiałami, kierowca niecierpliwie nawoływał wartownika klaksonem. Wartownik wylazł z budki przecierając oczy. „Spał łobuz” – pomyślał Trzaskowski z gniewem i na chwilę zapomniał o pożywce dla AC-X. Zobaczył, że po dachu czwartego laboratorium gonią się dwa koty i śledził ich gonitwę, aby tylko jak najpóźniej powrócić myślą do sprawy wyjazdu.

Ale przecież trzeba było to załatwić. Ociągając się wrócił za biurko i ujął słuchawkę. Gdyby Marczyka nie było w gmachu...

Marczyk jednak był. Wysłuchał polecenia rzuconego suchym, ostrym tonem i równie sucho, zwięźle odparł, że wyjedzie jeszcze dziś w nocy, delegację i pieniądze sam załatwi w wydziale finansowym, za kilka dni będzie z powrotem.

Pożegnali się urwanym: „do widzenia...” i Trzaskowski usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że tamten żywi do niego co najmniej tyle samo nienawiści, co on. „Dwaj wrogowie” – pomyślał. Do tej pory nigdy jakoś nie zastanawiał się

nad tym, że Marczyk odpłaca mu pięknym za nadobne. Ale dlaczego? Jakaś osobista uraza, wynik licznych, ostrych kłótni pomiędzy nimi, albo też ambicje zawodowe. No tak, Marczyk pewnie zdaje sobie sprawę, że mógłby objąć jego stanowisko. Kto wie, może sądzi, że on byłby lepszy, obrotniejszy, ma przecież dyplom magistra ekonomii, podczas gdy Trzaskowski...

*

Docent Tajber pochylił się nad mikroskopem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się preparatowi, a dwaj asystenci czekali w napięciu na ocenę.

„Powinien pochwalić” – myślał z niepokojem młodszy, czarnowłosy i tęgi Tadeusz Opalek, rodem z Zagłębia. Kiedy mówiono o nim, że pochodzi ze Śląska, cierpliwie prostował, że z Dąbrowy Górniczej. „Powinien pochwalić, wynik jest wprost rewelacyjny”.

Drugi asystent, syn chłopa z Białostockiego, przysadzisty, rudy, Antoni Zajączkowski tkwił nieruchomo za plecami docenta, a twarz jego nie wyrażała żadnych obaw. Był spokojny o to, co usłyszy. Nigdy się nie denerwował, w przeciwieństwie do Opalka, który mimo otyłości był ruchliwy, nerwowy i łatwo go było wyprowadzić z równowagi.

Wreszcie Tajber wyprostował się, spojrzał na nich i uśmiechnął.

– Brawo! – powiedział z nieukrywanym zadowoleniem. – Bardzo dobry preparat. Cieszę się, koledzy.

Opalek odetchnął z ulgą, Zajączkowski pokiwał głową z uśmiechem. Nie na darmo pracowali nad tym kilkanaście dni, a częściowo i nocy.

Docent zwrócił im jeszcze drobną uwagę, polecił przygotowanie analizy białka, po czym wyszedł do gabinetu. Czwarte laboratorium pracowało na ogół bez zarzutu.

Opalek zatańczył między stołami, przewracając krzesło. Twarz jego promieniała.

– Chyba się dzisiaj urznię! – oznajmił radośnie.

– Zawsze tak obiecujesz i na tym się kończy – mruknął Antoni. – Żebym choć raz zobaczył cię pod stołem, to bym się chociaż uśmieł.

– Ech, ty gospodarzu na kupce piasku i końskim ogonie! Chyba cię matka w kapuście znalazła, bo masz głąb zamiast głowy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI